



Do Waranasi przyjechaliśmy szybciej niż zakładaliśmy. Pociąg stanął na stacji, z której mieliśmy ruszyć riksami do celu, dwadzieścia pięć minut przed planowanym w rozkładzie przyjazdem... Tylko tu w Indiach jest coś takiego możliwe. Zerwaliśmy się na równe nogi, zarzuciliśmy bagaże na ramiona i w długą! Po chwili na siku, załadowaliśmy się do tuktuków i niedługo potem byliśmy w Waranasi.

Moje ulubione i wytęsknione Waranasi... Straszne i piękne jednocześnie. Miasto kojarzone ze świętą rzeką Ganges, ghatami, śmiercią i klimatem starych Indii. Bo nie ma drugiego takiego miasta w Indiach jak Waranasi czy Benares, bo pod tymi nazwami jest najbardziej znane. Waranasi jest też najstarszym zamieszkałym miastem na świecie, ważnym zarówno dla wyznawców hinduizmu jak i buddystów. Współcześnie liczy ponad trzy miliony mieszkańców.

Kiedy przyjechałam tu po raz pierwszy byłam równie zachwycona co przerażona. Labirynt uliczek starego miasta wydawał się nie do ogarnięcia. Droga do hotelu Pudża nie do zapamiętania. Za pierwszym razem przyjechałam tu nad ranem. Idąc do hotelu mijaliśmy święte krowy i konduktory niosące mary ze zmarłymi na Manikarnika Ghat. Teraz droga do hotelu była niby ta sama, ale oprócz krów i konduktów, na wąskich na metr - półtora uliczkach toczyło się życie. Pootwierane były kramy z jedzeniem, pamiątkami, sklepiki, pralnie, świątynie i świątynki. Między nami cisnęli się lokalsi, próbowali przejechać na motorach i na wózkach inwalidzkich... Co i raz mijaliśmy także grupki pilnujących porządku mundurowych. Do hotelu Pudża? Pytał Kumar. Tędy. Prosto. W prawo i prosto. Aż wreszcie doszliśmy.

Na końcu małej wąskiej uliczki wypatrzyliśmy wyjście do Pudży, hotelu na Lalita Ghat, blisko miejsca, w którym są słynne schody ze stosami całopalnymi. Hotel jest nadzwyczaj wygodny, pokoje z klimą, wi-fi i innymi udogodnieniami, a w dodatku z restauracją na rooftopie, do której, prócz zameldowanych w Pudży, zaglądają gangi małe i kradną co się da jeśli zajdzie okazja.

Po krótkim odpoczynku w pokojach, poszliśmy na spacer po mieście. Byliśmy w małej, blisko położonej naszego hotelu świątyni hinduistycznej a potem skierowaliśmy się na słynny Manikarnika Ghat, żeby zobaczyć ceremonię kremacji. Przerazające? No właśnie nie. Śmierć jest częścią życia. Tabu z nią związane w Europie, tu w Benares, zostaje odsłonięte. Mary ze zwłokami, przygotowania do kremacji, podpalenie stosu, rozbicie czaszki zmarłego, by jego duch mógł swobodnie ulecieć i rytualne zakończenie żałoby... to wszystko można zobaczyć i ogląda się ze spokojem i ufnością w celowość wykonywanych obrządków. Śmierć przestaje przerażać. Ciągle wydaje się straszna w swej nieuchronności, ale już naturalna.

Nasza młodzież tak właśnie odebrała to, co zobaczyła na Manikarnika - ze spokojem i zrozumieniem odmienności hinduskich ceremonii pogrzebowych. A potem poszliśmy na pudżę, czyli ceremonię religijną, odprowadzaną w intencji dusz zmarłych niezmiennie od setek lat. Ludzie zbierają się na ghatach i w łodziach zacumowanych przy brzegu, by obejrzeć rytualne modły i śpiewy. Nawet niewierni, jak my, dają się uwieść dźwiękom, zapachom kadzideł i skomplikowanemu układowi gestów braminów. A po zakończeniu pudży, Ganges rozświetlają światełka świec, które wraz z kwiatami puszczane są z nurtem rzeki, w której



trudno się nie zakochać.

Wyprawowicze też chętnie szwendali się po ghatach, fotografowali rzekę, a potem, kiedy już wyjeżdżaliśmy z Benares, żegnali Matkę Gangę. Poznali ją w miarę dobrze, bo o dziwo mimo pory monsunowej, poziom wód Gangesu był tak niski, że gdzieniegdzie nawet odsłoniły się łachy piachu, tworząc mini wysepki. No i popłynęliśmy Gangesem, żeby zobaczyć wschód słońca i budzące się życie na ghatach, czyli ludzi zażywających rytualnych kąpeli, piorących, myjących jakieś naczynia... A po dwóch godzinach kołysania się na wodzie, pojechaliśmy do Sarnath, czyli Parku Jeleni, gdzie Budda wygłosił swe pierwsze kazanie po doznaniu oświecenia na temat wprawienia w ruch Koła Dharmy i dokąd kilkakrotnie wracał, aby przeczekać porę deszczową. Ja tam też wróciłam, by po raz kolejny obejść (zgodnie z ruchem wskazówek zegara) wysoką na 34 metry stupę Dhamekh i obejrzeć pozostałości wzniesionego z rozkazu Aśoki kompleksu klasztorowego, którego częścią była kolumna z lwim kapitelem, figurującym we współczesnym godle Indii.

Trzeci dzień w Waranasi wypełniło zwiedzanie świątyń hinduistycznych i szczególnie występ taneczno-muzyczny, na rooftopie naszego hotelu, przygotowany specjalnie dla nas. Tradycyjny taniec kathak prezentowany przez prawdziwego mistrza tej sztuki wzbudził nasz zachwyt. Nazwa tego stylu w tańcu pochodzi od słowa oznaczającego „bajka, opowiadanie” i najprawdopodobniej jest skutkiem zazębiecia się dwóch tradycji, czyli hinduistycznej oraz muzulmańskiej. Praca stóp tancerza, precyzja, z jaką wykonywał każdy gest rękoma zapewne były efektem wieloletniej ciężkiej pracy i ćwiczeń. Natomiast przed występem, my dziewczyny miałyśmy do wypełnienia misję specjalną. Im bliżej było Waranasi tym częściej marudziłyśmy Kumarowi, że chcemy kupić oryginalne sari. A wiedziałyśmy, że w tym właśnie mieście można nabyć najlepsze, jedwabne, z topem szytym na miarę i z dnia na dzień. Miejsce, do którego zaprowadził nas znajomy Szefa było pewne, ale oferowane sari dosyć drogie, ale... w końcu jesteśmy w Indiach, a tu wręcz trzeba się targować. I wytargowałyśmy niezłą cenę jak na sześć metrów jedwabiu, bo tak długa jest tkanina, którą potem trzeba jeszcze umieć odpowiednio na sobie upiąć. Nasze piękne kolorowe sari były gotowe na czas i do odbioru tuż przed wspomnianym występem. Biegłyśmy ile bozia w nogach dała, tak bardzo byłyśmy ciekawe efektu, czyli jak w tym będziemy wyglądać. Miałyśmy mały problem z bluzkami - tył do przodu czy przód do tyłu, bo wszystko nam pasowało, ale krawiec wyprowadził nas z błędu i niczym rdzenne Induski poczapaliśmy w naszych kreacjach zaprezentować się Kumarowi i Rysiowi. Ich miny wyrażały wszystko, więc przyjęłyśmy wersję, że są zachwyceni. Cóż...

Waranasi pokochali chyba wszyscy. Młodzi dość szybko opanowali sztukę odnajdywania się w labiryncie krętych uliczek zwanych gali. Bez problemów buszowali po nich, szukając dobrych restauracyjek i najedzeni jak bąki wracali grzecznie na czas do hotelu. I o ile obiady jedli w różnych miejscach, to wszyscy jak jeden mąż biegali na lassi w jedno miejsce, do uroczego przybytku prowadzonego przez przemilego pana, który nie skąpił napoju, podając go w glinianych naczynkach szczerze dodając pistacji, płatków migdałowych, ziaren granatu... I jak nie kochać Waranasi?